

Zapomniana gra

Twórczość dramaturgiczna Jarosława Abramowa różnie przeżyła meandry: od znakomitych skeczów STS-owskich, poprzez najpopularniejsze komedie pełnospektaklowe: „Anioła na dworcu” i „Derby w pałacu” aż do niefortunnej „Ucieczki z wielkich bulwarów”. Ta ostatnia sztuka — jak można się domyślić — była owocem przemyśleń autora, który doszedł do wniosku, że nie można ciągle pisać niepoważnie. Była to zemsta tzw. „duszy polskiej”, którą ten sam autor w poprzednich swoich komediach obnażył i ośmieszył. Toteż „Ucieczka” była dramatem całkowicie nieudanym, szczególnie przez nieznośne zacięcie pseudo-filozoficzne. Pamiętamy, jak po premierze w Teatrze Ludowym krytyka nawoływała autora, aby czym prędzej powrócił na porzucone bulwary, gdzie jednak czuł się najlepiej.

Jarosław Abramow usłuchał tych wezwań. Z jakim skutkiem? Ulegając przyrodzonej człowiekowi dążności do hierarchizacji zjawisk, nową sztukę Abramowa „Klik-Klak” należałoby umieścić gdzieś w tyle za „Aniołem na dworcu” i „Derbami”. Daje się bowiem w tej komedii zauważyć pewne wyeksploatowanie zarówno gagowych sytuacji, związanych z określonymi problemami (w szczególności najnowszej historii), a także znużenie inwencji na obszarze humoru czysto językowego, werbalnego. Nie znaczy to, że „Klik-Klak” jest komedią niedowcipną. Owszem, publiczność śmieje się chętnie i szerze i nic w tym złego. Chodzi jednak o to, że Abramow nie mówi nowego słowa, eksploatując sposoby i metody, jakie uprzednio spowodowały sukces obu wspomnianych komedii.

Jarosław Abramow, nieliczny w naszej literaturze tylko dramaturg, i tylko — komediopisarz (na bok odkładam „Ucieczkę” jako nieudane odstępstwo), ma — jak również mało kto — „wyczuć widownię”, ów niezawodny instykt teatralny, podszeptujący, co na pewno rozbawi widza. Zwykłym



Renata Kossobudzka — Kornelia Mieczysław Stoor — Grzegorz Wiencysław Gliński — Teodor
Fot. L. Myszkowski

głupstwem byłoby robić z tego zarzut. Ale podobnym głupstwem byłoby do sztuki na przykład takiej, jak „Klik-Klak” dorabiać głębię i ideologię. Nie ulega wątpliwości, że jest to komedia zgrabna, z doskonałym pomysłem, dobrze napisana (pomijając — aby za chwilę do tego powrócić — nieudane zakończenie), ale też niewiele więcej poza to. Aluzje i żarty, wywołujące zduszone chichoty na sali, są na tyle bezpieczne i idea sztuki na tyle ogólnikowa, że pomawianie tej komedii o jakies głębsze czy ukryte sensy byłoby zwykłym rozminięciem się z prawdą, a więc — co za tym idzie — krzywdą wyrządzoną autorowi.

A oto pomysł: kobieta w podszłym wieku, ale jeszcze atrakcyjna, na towarzyski wieczór zaprasza trzech mężów, jakich w życiu miała: przedwojennego pułkownika, sanacyjnego dyplomata i powojennego wiceministra. Jest rzeczą oczywistą, że zet-

knięcie takich właśnie trzech mężczyzn, wszystkich już w słuźnym wieku, a więc skorych do wspomnień, powoduje niezliczoną ilość śmiechów komediowych na tematy już to historyczno-polityczne, już to buciarowe.

A że Abramow dysponuje lekką i celną ręką do żartów, a także, że ma niezły zasób wnikliwych obserwacji psychologicznych, pozwalający trafnie i zwięźle charakteryzować postacie — to wiemy. Nie sposób więc, aby „Klik-Klak” nie było wesołe i nie podobało się. Do czasu jednak. Kiedy autor „namoła” już całą sprawę, kiedy nawet wprowadził na scenę czwartego — aktualnego i młodego przyjaciela pani domu, nagle zabrakło mu konceptu. Ktoś napisał, że skutkiem tego Abramow brnie w konwencję groteskową, sprzeczną z dotychczasową materią utworu. Otóż wygląda na to, że to nie jest żadna konwencja, tylko po-

prostu brak inwencji. Mówią po prostu i, bez osłonek — „Klik-klak” kończy się bez sensu. Mam na myśli zarówno tzw. sens życiowy, jak i sens dramatyczny.

Nie mam najmniejszej skłonności do poklepywania po plecach i nazbyt cenię twórczość komediową Jarosława Abramowa, aby starać się przekonać samego siebie, że — jak to się zwykło w takich razach pisać — możemy śmiało wybaczyć autorowi to drobne potknięcie; skoro przedtem raczy nas dobrą zabawą. Jest to prawda (z tą zabawą), ale nie zmienia faktu, że zakończenie komedii „Klik-klak” jest najwyraźniej spartaczane.

Tego partactwa specjalnie nie zakryła inscenizacja w warszawskim Teatrze Kameralnym, mimo, iż przez cały czas jej efekty były na miarę sztuki, to znaczy była to reżyseria sprawna, dbała o tempo komedii, umiejętnie pointująca kwestie i sceny. Walnie pomogli aktorzy: święty Mieczysław Stoor w roli pułkownika przeszedł samego siebie. Istotnie — jak to już podkreślano — jest to najlepsza z dotychczasowych ról teatralnych tego aktora; nie mającego dotąd szczęścia ani do postaci, ani do reżyserów. Równie celnie rysuje postać (mocno — podobnie jak Stoor — postarzony) Wiencysław Gliński jako dyplomata. Wiktor Nanowski zaś umiejętnie scala podpatrzone w życiu realnym cechy pewnego typu działaczy. Renata Kossobudzka jako pani domu jest — wedle mego zdania — nazbyt kokietliwa, ruchliwa i krzykliwa. Zaś Wojciech Sztokinger jako młody absztyfikant gra nie wiadomo co, bo i tyle ma do grania.

I jeszcze jedno: sztuka nosi tytuł „Klik-klak”. Obecnie już z trudem sobie przypominamy, co to takiego. Za parę lat zapomnimy zupełnie. Gra owa wyszła z mody tak szybko, że nazwanie jej imieniem sztuki jest albo krótkowzrocznością autora, albo dowodem — jakże szlachetnej — skromności...

Teatr Polski w Warszawie. Scena Kameralna. Jarosław Abramow: „Klik-klak”. Reżyseria: Wanda Łaskawska. Scenografia: Małgorzata Trentier. Premiera 5 lipca 1972.